

Wołyń

10 października 2016

Może zabrzmi to dramatycznie, ale „Wołyń” to najlepsza produkcja historyczna od lat. Piszę to z pełną świadomością konsekwencji tego stwierdzenia. Nie stawia politycznych tez, nie sądzi katów, nie wychwala ofiar. Po prostu boli... i nie pozostawia miejsca na dyskusje o racjach jednych albo drugich, bo zło zawsze pozostaje złem.

W momencie, gdy powstaje ta recenzja, w głowie brzmi mi ludowa muzyka oraz weselne przyśpiewki po polsku i po ukraińsku. Budzi się we mnie polski romantyk, który Kresy chce postrzegać poprzez mit o idyllicznej krainie szczęśliwości i tolerancji. Pewnie dlatego, że prawda jest zupełnie inna i boli jak rana posypana solą. Film zaczyna się sceną wesela między Polką i Ukraińcem. Radosne sceny są tylko przykrywką. Już podczas zabawy rodzą się demony, wspólna nieufność, stereotypy zaczynają królować we wzajemnych relacjach. Polak to pan, Ukrainiec to cham i parobek, a po wódkę chodzi się oczywiście do Żyda. Wołyńskie wesele pozwala widzowi wejść w ten świat, poznać głównych bohaterów, przez pryzmat których poznajemy całą opowieść. To czas, by wejść w świat młodej Zosi, zakochanej w Ukraińcu Petrze, ale wbrew swojej woli wydanej za bogatego gospodarza Skibę.

Pierwsze kilkadziesiąt minut filmu Wojciecha Smarzowskiego wbijają się w świadomość tak mocno, że nie sposób o nich zapomnieć nawet wtedy, gdy na ekranie zaczyna królować ogień i krew. Zabieg celowy – ponieważ nic tak nie uwypukla zła – jak czas, gdy kaci i ofiary żyli obok siebie, pili i bawili się razem, kłócili, a potem godzili w imię wspólnego dobra. Nic nie boli tak jak obraz tego co poprzedza nienawiść. Szczególnie, że może ją poprzedzać miłość. A tej w filmie nie brakuje. Rzecz w tym, że umiera ona w bólu i cierpieniu. I w tym właśnie tkwi siła najnowszego obrazu Smarzowskiego.

„Wołyń” nie epatuje przemocą, nie stawia jej w centrum. To opowieść o rosnącym napięciu, o życiu na tykającej bombie zegarowej, która w końcu wybucha i świat różnych narodów, kultur i politycznych racji spłyca się do zadawania bólu i cierpienia, do rzek krwi wylewanych tylko dla tego, że ktoś powiedział o jedno słowo za dużo. A wtedy cały świat młodych – często naiwnych – ludzi przestaje istnieć. Wiara, że mogą zrobić wszystko byle mieć siebie i miłość, zastąpiona zostaje brutalnym biologicznym determinizmem – byle przeżyć. Całość uwiarygodnia realizm jaki bije z ekranu. Pod względem kostiumów, scenografii, ruchu kamery filmowi temu blisko do perfekcji rzadko spotykanej w polskim kinie. Zaledwie minutowa scena przedstawiająca jak polscy i ukraińscy rekruci ramię w ramię walczą podczas kampanii wrześniowej pozostawia daleko w tyle wszystkie polskie produkcje wojenne z ostatnich lat.

Wojciech Smarzowski bardzo mądrze prowadzi swoich aktorów, każdemu dając okazję do zagrania roli życia, ale bez przesadnego epatowania aktorskim kunsztem. Idealnie osadził w głównej roli debiutantkę Michalinę Łabacz. Ta drobna blondynka o delikatnej urodzie sprawnie prowadzi widza przez proces przemian jakie następują w świecie i w niej samej. Jej oczyma widzimy jak rodzą się wielowątkowe przyczyny ludobójstwa. Nie tylko na Polakach, ale także na Żydach i samych Ukraińcach. Gdy przez Wołyń przetaczają się kolejne armie – radziecka, niemiecka czy bojówki OUN lub banderowcy – grana przez Łabacz Zosia z dnia na dzień, z roku na rok traci powoli swoją radość, miłość, młodzieńczą naiwność. Jej oczyma widzimy jak Wołyń powoli pogrąża się w mordach na tle narodowościowym. Postacie drugoplanowe i trzecioplanowe są tak dobrane i zagrane, że budzą sympatię widza. Pojawiają się nawet na chwilę i zostają w naszej pamięci, ale tak szybko jak się pojawiają tak szybko znikają – zastrzeleni, powieszeni, utopieni, rozerwani końmi lub zatłuczeni siekierami. Zosia z każdą tą śmiercią staje się coraz bardziej wypalona, a widza boli każdy skrawek jego ciała i duszy.

„Wołyń” Smarzowskiego to film głęboki, wielopłaszczyznowy, skrywający coś więcej niż historyczna opowieść o zbrodni dokonanej nie tyle na Polakach – co na wszystkich mieszkańcach Kresów. To uniwersalna opowieść o demonach nacjonalizmu i tego co mogą zrobić z człowiekiem. Niczym zdjęcia z Rwandy czy relacje o mordach na pograniczu Kirgistanu i Uzbekistanu po upadku ZSRR – film ten jest przestrogą dla wszystkich, którzy chcą uwierzyć, że nacjonalizm jest lekiem na każdy spór, narodowe smutki i kompleksy. Czasem ma się wrażenie, że zabieg by pokazać różne racje, różne nacjonalizmy, wchodzić w niuanse społeczne, ukazuje naiwność samego Smarzowskiego, który może nawet popadać momentami w kicz. Są sceny, które mogą tak wyglądać – wspólne kazanie dwóch popów, z których jeden wzywa do mordów, drugi do tolerancji; weselna walka na cepy jako metafora rodzącego się konfliktu, symboliczny pogrzeb Polski czy w końcu odcięcie dziewczęcego warkocza siekierą – tą samą, którą potem ukraiński bohater będzie zabijać Polaków. Są to proste symbole, z których wyłania się jednak bardzo ważna konstatacja – człowieczeństwo może umrzeć w każdej chwili, zło tkwi w nas przez cały czas i tylko czeka na impuls. Obudzi się, zbierze krwawe żniwo i być może zniknie, gdy ktoś się w końcu opamięta.

Ostatnie minuty filmu, gdy Zosia szuka pomocy, przemykając pomiędzy kolejnymi mordami, budują wrażenie, że bohaterka w końcu odnajdzie spokój, że w świecie opanowanym przez potwory wyłoni się ostatni człowiek, a ostatni szlachetny odruch serca przypomni nam, że wszyscy jesteśmy ludźmi. Smarzowski przez cały czas trwania filmu buduje świat antagonizmów, zbrodni popełnianych w imię zemsty za krzywdy sprzed pokoleń, kreuje obraz atawistycznych podziałów na swoich i obcych, ale zostawia nadzieję na ocalenie wszystkiego co ludzkie. Nadzieja okazuje się jednak płonna, nic takiego bowiem nie następuje. Zosia ratuje swoje życie, ale brakuje tu szlachetności. W finale filmu pozostaje cisza i beznamietny koniec. Bolesny. Potworny... ale ludzki. Smarzowski jak przystało na rasowego humanistę pokazuje kim jest człowiek, ale nie po to, by go

skrytykować, tylko ostrzec. „Wołyń” to przestroga przed utratą człowieczeństwa w okrutnych czasach.

Mógłbym skończyć w tym momencie, ale nie sposób przejść obojętnie obok jeszcze jednego ważnego pytania – czy ten film pozwoli nam rozmawiać o bolesnej przeszłości, da szansę na pojednanie? Nie wiem, ale tuż po seansie rozmawiałem z przyjacielem z Ukrainy, który w pewnym momencie powiedział wprost: „Teraz to chyba nie masz ochoty ze mną rozmawiać”. Pół żartem, pół serio odparłem, że właśnie teraz rozmowa z nim jest mi najbardziej potrzebna. Uderza mnie jak głęboko te słowa tkwiły w mojej świadomości, i jak bardzo były, są i będą konieczne, by nas oczyścić.

Autorstwo: Marcin Sałański

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)